

Kobieta z żelaza

Ukazujący się dziennik Krystyny Jandy to ewenement na skalę światową. Nikt ze współczesnych artystów nie prowadził tak systematycznie zapisków. Jest w nich „cała Janda”.

Leszek Bugajski

W dziejach polskiego teatru i kina było sporo gwiazd, ale Krystyna Janda jest jedna. Tamte gwiazdy były szanowane, wielbione i kochane, ale ich artystyczne możliwości były z reguły ograniczone: zdobywały widzów albo rolami romantycznymi, albo komediowymi, jednak żadna nie była tak wszechstronna jak Janda. Dla niej – zdaje się – nie ma ograniczeń. Teatr, kino, estrada – wszystko jej jedno. Trzeba zagrać współczesną kobietę, proszę bardzo, trzeba się pokazać w sztuce antycznej czy szekspirowskiej, robi to z sukcesem. Z równym powodzeniem wciela się w najlepszą (Marię Callas), jak i w najgorszą (Florence Jenkins) śpiewaczkę świata. W panią Dulską i w knajpianą piosenkarkę dręczoną przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. A już w monodramach, które są od wielu lat jej znakiem firmowym, nie ma sobie równej aktorki: świetnie wciela się w Danutę Wałęsową i w rozmaite postaci kobiet po przejściach. Jeśli pojawia się na festiwalu piosenki – wykonuje „Gumę do żucia” tak,

że powala publiczność i staje się legendą. A do tego reżyseruje zarówno w kinie, teatrze telewizji, jak i w teatrach. Śpiewa i nagrywa płyty. I oczywiście prowadzi własny teatr (a właściwie dwa: Polonię i Och-Teatr), który jest jedną z najchętniej odwiedzanych przez publiczność scen warszawskich. Jest tytanem pracy i za tę pracę zdobyła mnóstwo odznaczeń, tytułów i nagród, łącznie ze Złotą Palmą na festiwalu w Cannes.

ROZMOWA

I teraz rodzi się intrygujące pytanie: po co jej jeszcze potrzebna forma ekspresji, jaką jest dziennik? Każdy, kto zajmuje się pisaniem – nieważne: zawodowo czy amatorsko – dobrze wie, że pisanie to straszny mozół i na ogół działalność mało efektowna. Janda rzuciła się jednak na pisanie bloga we wrześniu 2000 r. z wielką pasją, dokładnie taką samą, z jaką działa we wszystkich innych dziedzinach. I trwa przy nim do dzisiaj. Systematycznie, na początku niemal codziennie, teraz nieco



◀ Janda jest jak
film Hitchcocka:
najpierw było
trzęsienie ziemi
rolą w „Człowieku
z marmuru”
(1976), potem – aż
do dziś – napięcie
użrastało

gdy okazuje się, że mimo życia w zawodowej „klatce”, bardzo chętnie z niej wygląda i z wielkim zainteresowaniem przygląda się światu i ludziom, wręcz ich „podgląda”. Podziw budzi, jak to swoje podglądanie opisuje. Jest w tym pewnie jakaś kalkulacja zawodowa – w końcu aktorka musi wiedzieć, jak się ludzie zachowują w rozmaitych sytuacjach, ale jest też zrozumienie i współczucie, jak na przykład wtedy, gdy opisuje obserwowaną na plaży piękną kobietę czekającą na telefon, smutną, samotną. Jak opisuje jej ukrywane rozedrganie, niepokój, sposób, w jaki pilnuje telefonu... i swoje wzruszenie wyobrażaniem sobie jej przeżyć, i współczucie, jakie wzbudza w autorce. Zresztą opisy ludzi zajmują w dzienniku Jandy szczególnie miejsce, niekiedy są to wręcz osobne opowiadania, jak jej opis przejażdżki po Warszawie i analiza tego, co można wyczytać ze sposobu chodzenia obserwowanych osób.

Tu od razu przychodzi czytelnikowi na myśl sposób, w jaki młoda Janda chodziła w swoim pierwszym filmie, „Człowieku z marmuru” Wajdy. Wystarczyło, że przeszła przez ekran, by widz wiedział, jakim człowiekiem na ekranie jest ta studentka, ile w niej energii, determinacji w dążeniu do celu, jakim było nakręcenie filmu o Birkucie. Ta szalona dziewczyna, której przeciwności nie załamują, gdzieś w aktorce siedzi nadal, choć Janda już tak

nie biega, ale – co ciekawe – „biega” od jakiegoś czasu w swoim dzienniku. Nie dosłownie, ale w nowych jego partiach wyraźnie zmienił się jej styl pisania.

Kiedy zaczynała prowadzić swój internetowy dziennik, traktowała go – zgodnie z deklaracją – jako spokojną rozmowę z obcymi ludźmi, którzy stawali się jej przyjaciółmi, jako chwilę relaksu. Ale wtedy internet był jeszcze spokojnym

o wiele szybszy niż dawniej. To bardziej pokrzykiwanie niż rozmowa, pokrzykiwanie z przerażenia, z żalu za tym, co minęło, ale jednocześnie dynamiczna proza. „Jestem w Polsce! Co za stress! Agresja, nienawiść, złość, brak podstawowych zasad dobrego wychowania, szlachetności, grzeczności i wzajemnego szacunku. Wszędzie, wszędzie. Żal, presja, decyzje nie do uwierzenia, niespra-

Znakiem rozpoznawczym Jandy są monodramy. Jej „Shirley Valentine” jest grana od 1990 r. – wciąż przy pełnej sali i entuzjazmie widzów

miejszem, można go było traktować jako okienko, w którym się człowiek prezentuje jak chce. Dzisiejszy internet w tej części, w której dochodzi do interakcji między użytkownikami, to pole walki. Janda uświadomiła sobie, z jaką siłą wpływa na swoich czytelników, a jednocześnie wzburzyły ją zmiany zachodzące w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy w Polsce. Włączyła się więc do tej walki, jaka toczy się w sieci. Teraz wiele jej tekstów pisanych jest krótkimi, nerwowymi zdaniem czy równoważnikami zdań, ich rytm jest

wiedliwości nie do zaakceptowania, fakty przerażające, słowa, które nie powinny zabrzmieć. Ustawy, decyzje, prognozy katastrofalne. Kłamstwa, szantaż, groźby...” Itd., itd. To brzmi jak poezja awangardowa sprzed stu lat. Ale to bardzo ciekawe, bo już tylko z tych zmian stylu pisania widać, jak zmienia się nastrój autorki, jak ona się zmieniła, jak patrzy na dzisiejszy świat i ile jeszcze energii zachowała na walkę z nim. Dziennik Krystyny Jandy to rzeczywiście ewenement. <